ROZMAITOŚCI.

Dnia 21. Stycznia. № 3. Roku 1857.

IZABELLA ZAPOLSKA.

Opowiadanie historyczne

przez

Walerego Łozińskiego.

(Ciąg dalszy.)

Dumnym panom węgierskim nie podobały się te mądre i słuszne przedstawienia Polskiego króla. Licząc na długie rządy dowolne podczas małoletności syna Januszowego, trwali oni uporczywie przy postanowieniu pierwotnem, i w imieniu swego „wybranego“ króla Jana Zygmunta stawili zawzięty opór Ferdynandowi. Przedwszystkiem wysłali w skok Stefana Verböcza do Stambułu z prośbą o pomoc turecką. Uprzedzony pomyślnie przez swojego czausza, przyjął sułtan Soliman łaskawie wysłańca węgierskiego, i przyrzekł rychłą pomoc, byle tylko Budzyń trzymał się mężnie aż do nadejścia odsieczy.

Tymczasem nowy naczelnik wojsk Ferdynanda Rogendorf rozłożył się obozem koło starego Budzynia, i z góry św. Gerharda strzelał z armat do miasta, a nawet kilka już razy próbował szturmu. Mężna wytrwałość i zwycięzki zawsze odpór oblężonych podniosły jeszcze wyżej dumę magnatów, i do tem silniejszego zachęciły oporu. Nie podobała się im wielce niechęć Izabelli do pomocy tureckiej, a ustawiczne rozmowy i znoszenia się posłów polskich z Rogendorfem przejmowały ich gniewem i oburzeniem. Toż zgromadziwszy się na walną radę w domu Stefana Verbócza, postanowili pod przewodnictwem Jerzego Martinuzzi pozbyć się najrychlej rozjemców polskich. Pod pozorem jakiejś ważnej i nagłej sprawy, przywołano obudwóch posłów polskich do sali obrad. Zaledwie jednak Polacy, nie domyślając się żadnej zdrady, stanęli w kole węgierskiem, uwięziono ich wraz z całym pocztem przybocznym, i bez wszystkiego wyjaśnienia wyprawiono jeszcze tegosamego dnia pod zasłoną dwustu żołnierzy do obozu austryackiego.

Obrazona w najwyższym stopniu zniewagą ziomków i posłów ojca swojego, zapłonęła szlachetna wnuka Jagiellonów aż nazbyt słusznym gniewem, i w uniesieniu pierwszej chwili postanowiła opuścić sama Budzyń, i udać się także do obozu austryackiego. Jakoż kazała natychmiast spakować rzeczy, obładować bryki i przygotować się do odjazdu.

Zniepokojeni magnaci węgierscy zebrali się cozywo na nową radę, i zaprosili królowę unizenie do swego koła. Izabella przybyła, płonąc jeszcze gniewem i oburzeniem.

Na jej wejście podnieśli się panowie rady z czcią przynależną, i jęli z przybraną pokorą prosić królowę, aby odstąpiła od swojego zamysłu, i żadnym porywczym krokiem nie narażała przyszłości syna.

Izabella odpowiedziała z dumą:

„Od czasu śmierci pana mojego, nieboszczyka króla Janusza, nie powinnam nikomu zdawać sprawy z moich postępków. Nie podlegam nikomu, toż nikt nie śmie dawać mi przestrog i rozkazów. Widzę iż chcecie się zbisurmanić, chcecie Budzyń, mnie, syna mojego i wszystko królestwo wydać w ręce niewiernych. Dlatego uciekam od was bez zwłoki. Wolę być w niewoli u króla chrześcijańskiego, niż widzieć na głowie syna koronę, uzyskaną pomocą turecką. Poznaję iż pod zasłoną imienia mojego chcielibyście wszystką władzę zagarnąć w swoje ręce, i nie wzdragacie się poświęcić własną ojczyznę nienasyconej ambicyi waszej.“

Panowie rady milczeli z pomarszczonemi czołami. Tylko zuchwały Martinuzzi, o którym wkrótce przyjdzie nam pomówić nieco dłużej, postąpił o krok naprzód, i rzekł ponurym a groźnym głosem:

„Własna duma popycha cię w zgubę królowo! Prosimy cię pokornie, lecz jeśli nie wysłuchasz próśb, tedy wiedz, iż gotowi jesteśmy dopuścić sie kroku, który ci na złe wyjść może.“

Usłyszawszy tak zuchwałą odpowiedź zadrzała królowa, a oczy jej zabłysnęły szlachetnym gniewem. Zalana łzami, opuściła

milcząc salę obradową. Oburzenie i duma obrażona popchnęły ją niebawem do czynów hazardownych. Przywoławszy nazajutrz burmistrza miejskiego Mikołaja Turkowitha i trzynastu ławników i rajców, między którymi znajdował się także kronikarz Tomasz Bornemissa, zapytała ich po krótkiej przemowie, komu służą?

— „Służymy tobie i twojemu synowi!“ — odpowiedział z zapałem sędziwy Mikołaj Turkowith.

Otucha wstąpiła w serce stroskanej królowej. Ze łzami w oczach podziękowała burmistrzowi, i podała wszystkim rękę do pocałowania.

Ulegając czarodziejskiemu urokowi pięknej królowej, padli mieszczanie w uniesieniu na kolana, i przysięgli wszyscy pospołu, iż pozostaną wiernymi królowej, i przyłożą wszelkich starań, aby jaknajrychlej uwolnić ją zpod władzy dumnych magnatów.

— „Pomnijcie!“ — dodała królowa na pożegnanie — „iż ludzie ci zaprzedali mnie i ojczyznę, aby panowali sami pod bisurmańską opieka.“

Po odejściu rajców i ławników uspokoiła się królowa, i czekała z otuchą chwili wyzwolenia. Na nieszczęście znajdował się między mieszczanami jakiś zdrajca, który jeszcze tegosamego dnia doniosł o wszystkiem magnatom.

Zniepokojeni opiekunowie dziecięcego króla, pospieszyli na zamek i pod różnemi pozorami zniewolili królowę do zmiany mieszkania. Z zamku musiała przenieść się do pewnego domu przy wodociągach, gdzie pilno czuwano nad każdym jej krokiem. Wszakże mimo wszelką przezorność panów rad, udało się wnet królowej porozumieć się tajemnie z radą mieszczańską.

— „Uwolńcie mię bo jestem w więzieniu“ — kazała powiedzieć rajcom, którzy zawsze niezłomną zachowali jej wierność.

W miejscu złożonego chorobą burmistrza Mikołaja Turkowitha zawiadował sprawami miejskiemi ławnik Piotr Palczan. Jegoto zręczności udało się niebawem zawiązać porozumienie z królową, i za pośrednictwem mieszczana Jerzego Bornemissy wszcząć układy z austryackim wodzem Rogendorfem.

Dzięki sympatyi, jaką piękna Jagiellonka wzbudzała nawet w nieprzyjacielskim obozie, dojrzała wkrótce tajemna umowa między nią a wodzem króla Ferdynanda.

Królowa Izabella przyrzekała za pomocą oddanego sobie mieszczaństwa wpuścić Rakuszan do Budzynia i zrzec się Węgier i Siedmiogrodu na rzecz króla Ferdynanda. Natomiast obiecywał Rogendorf w imieniu swego pana utrzymać wszystkie starożytne wolności Węgier, i ręczył za nietykalność osób i majątków wszystkich panów węgierskich, którzy nie podnieśli oręża przeciw Ferdynandowi. Nad to wszystko obowiązywał się przyszły władzca Węgier poruczyć rządy kraju Węgrowi, niemniej też warował królowej Izabelli całą puściznę mężowską i wykupno jej dóbr węgierskich za wszystką summę oprawną.

Dla tem większej pewności obopólnej miał Rogendorf niniejszą ugodę sekretną posłać do podpisu królowi Francuskiemu.

Mieszczanie podjęli się otworzyć wojsku rakuzkiemu małą bramę od cmentarza Matki Boskiej, a w ten sposób mógł Rogendorf bardzo łatwo obsaczyć twierdzę, która lada dzień spodziewała się odsieczy tureckiej. Wszakże niestosowność rozporządzeń austryackiego wodza jako też wiele innych przypadków nieprzyjaznych nie dozwoliły dokonać zręcznie uknutego zamysłu. Z brzaskiem pewnego poranku przedarli się byli Austryacy aż do środka miasta, lecz zaskoczeni od ludzi Petrowicza i reszty załogi, musieli z niesłychaną stratą ustąpić, zanim jeszcze sam Rogendorf z liczniejszym hufcem mógł przyjść ku pomocy.

Waleczny dowódzca tej wycieczki, syn Rogendorfa, z trudnością tylko zdołał ocalić życie, a hufiec jego party ze wszystkich stron orężem załogi, postradał chorągiew, i strasznie przerzedzony powrócił do obozu.

Nieszczęśliwy skutek zamachu mieszczan odjął królowej wszelką nadzieję wyswobodzenia się zpod władzy magnatów.

Tymczasem przywołany ich prośbami sułtan Soliman zbliżył się z ogromną armią na odsiecz, i wkrótce ukazał się pod Budzyniem. Nierozważny Rogendorf nie dość wcześnie odstąpił od oblężenia, toż otoczony nagle z trzech stron przez armię turecką, odniosł dotkliwą klęskę, i musiał w nieładzie uciekać do Komorna, gdzie umarł z rany otrzymanej w boju.

Zwycięzki sułtan rozparł się z armią swoją pod murami starego Budzynia. Tatarzy pustoszyli ogniem i mieczem całą krainę aż po Strygoń i Nitrę; wszystkich jeńców pojmanych w ostatnim boju, rozkazał zwycięzca wymordować do jednego.

Po kilku dniach wypoczynku w obliczu samego Budzynia posłał Soliman w swojem i swojego syna imieniu bogate upominki kró-

lewskiemu dziecięciu Janowi Zygmuntowi. Byłyto cztery złotem przetykane suknie, złoty łańcuch i trzy wspaniałe konie w kosztownych, od złota i dyamentów lśnących rzędach i przyborach. Wszystkim doradźcom królowej nadesłał również bogate suknie i łańcuchy złote. Izabella sama otrzymała pierścienie i klejnoty nieocenionej wartości, kilka złotych łańcuchów i welon babiloński.

Pozorna ta łaska potężnego sułtana nie uchyliła bynajmniej obaw i uprzedzeń królowej, i kiedy w uroczysty obchód zwyciezkiej odsieczy grzmiały działa z bastonów twierdzy, spiewano *Te Deum* w kościołach, a panowie rady jaknajżywszemu oddawali się weselu, to wcale inne uczucia pasowały się w sercu pobożnej córy Jagiellonów. Pomoc i opieka niewiernych przejmowała ją zgrozą; z pogodniejszym umysłem przyjęłaby była najsroższą niedolę, niepomyślnym zbiegiem wypadków sprowadzoną, niż tron i koronę z krwawych rąk Solimana.

Wszakże daleko sroższa czekała ją jeszcze próba. Soliman zapragnął ujrzeć na własne oczy dziecięcego potomka Januszowego, i wysłał posła do Budzynia z następującem zleceniem do Izabelli: „Prawo proroka nie pozwala sułtanowi odwidzić królowę. Pragnie on jednak uściskać koniecznie dziecię człowieka, którego niegdyś bratem swoim nazywał. Prosi zatem królowę, aby mu niezwłocznie przysłała do obozu swe dziecię. Sułtan ujrzy je i uściska, i jeszcze tegosamego dnia odeszle matce napowrót.“

Niesłychana trwoga ogarnęła Izabellę. Powierzyć jedyne dziecię rękom Solimana, którego samo imię przejmowało każdego chrześcijanina postrachem i odrazą, byłato próba nad jej siły. Zatrwożona wyobraźnia stawiła jej przed oczy tysiące najdziwniejszych niebezpieczeństw, dręczyła umysł tysiącem obaw i podejrzeń.

Lecz nie było czasu do namysłu i wahania się. Nie usłuchawszy prośby sułtańskiej, można było narazić się na przymus, i ściągnąć na siebie gniew Solimana, co w razie obecnym byłoby niemałem niebezpieczeństwem, nie tylko dla samej królowej, lecz i dla całego królestwa.

Toż z sercem przepełnionem trwogą i rozpaczą, uległa nareście Izabella. Ustroiwszy dziecię w szaty wspaniałe, powierzyła je wraz z mamką i kilką przybocznemi matronami opiece panów i rad, spieszących do obozu Solimana. Bylito obadwaj opiekunowie Petrowicz i Jerzy Martinuzzi, tudzież kilku innych najznamienitszych magnatów, mianowicie Urban Bathyany, Walenty Török, Stefan Verbocz i Jan Podmaniczky.

Już cały orszak wyruszał z zamku, gdy królowa nie mogąc zwalczyć swego wzruszenia i niepokoju, przyskoczyła do mamki, i raz jeszcze uściskawszy dziecię, ozwała się drżącym głosem do dawnego przyjaciela nieboszczyka króla Janusza, walecznego i szlachetnego Töreka:

— „Walenty! Twój towarzysz Martinuzzi jest mnichem; nie miał nigdy dzieci, i nie zna uczucia rodzicielskiego. Lecz ty, ty masz żonę i dzieci, ty wiesz co to uczucie matki; tobie więc powierzam moje dziecię jedyne. Czuwaj nad niem, i ustrzeż je od wszelkiego przypadku.“

Po tem ostatniem pożegnaniu wyruszył orszak magnatów wśród wielkich okazałości do obozu tureckiego.

Izabella usunęła się do swoich komnat, i rzucając się na kolana przed wizerunkiem Zbawiciela, czekała wśród gorących modłów chwili powrotu. Nagły i nieprzewidziany wypadek powiększył w dwójnasób jej rozpacz i niepokój, przejął ją temsroższem podejrzeniem.

Zaledwie orszak z królewskiem dziecięciem wyruszył z miasta, przybliżyły się ku bramom twierdzy nieliczne tłumy Janczarów, i wśród żywych rozmów, śmiechów i żartów, zaczęły wchodzić jeden po drugim do twierdzy, jakoby chcąc przypatrzyć się wnętrzu Budzynia. Żołnierze węgierscy nie śmieli wzbronić przystępu swoim sprzymierzeńcom i oswobodzicielom; toż chyłkiem, milczkiem, znienacka, wsunęła się kupka po kupce do środka miasta, i stanął w ten sposób potężny hufiec między murami Budzynia. A zanim jeszcze nierozważni Węgrowie powzięli podejrzenie, już uszykował się jeden oddział po drugim, i obsaczywszy z nienacka wszystkie ważniejsze miejsca, pokazali się goście nieproszeni w cale innej postaci. Jedni rzucili się rozbrająć straż przy bramach i murach, inni zajęli posterunki po wszystkich częściach miasta, a jeden hufiec stanął na rynku, dowodzący nim aga zwiastował przerażonym mieszkańcom, iż wolą jest sułtana, aby wojska tureckie obsadziły Budzyń, a wszyscy mieszkańcy złożyli natychmiast broń, i zachowali się spokojnie pod utratą gardła i mienia.

Na widok tego wszystkiego nie miała już granic rozpacz i trwoga nieszczęśliwej królowej. Dziecię jej zdawało się postradane na zawsze, a nawet jej własna osoba niepomału

zagrożoną. Wojska tureckie opanowały i rozbroiły bezopornie całe miasto, a przez rozwarte na ścieżaj bramy wkroczyło do Budzynia dziesięć tysięcy nowego żołnierza doborowego.

Wtem wśród ostatecznego zwątpienia, wśród najsroższej rozpaczy młodej matki, opłakującej dziecię jedyne, ukazał się tuż za ostatniemi szeregami Janczarów pod słabą zasłoną zbrojnych, nieliczny orszak kobiecy. Byłyto matrony dworskie i mamka królewskiego dziecięcia, wracające z obozu bez żadnego przypadku.

Owszem sułtan Soliman przyjął dziecięcego króla z jaknajwiększą czcią i świetnością. Sanczakowie, czauszowie i najdostojniejsi urzędnicy dworu sułtańskiego powitali go jeszcze przed bramami obozu, i wśród ceremonij wspaniałych wprowadzili cały orszak przed oblicze Solimana. Kwilące dziecię nie chciało w żaden sposób przejść na ręce opiekuna Petrowicza. Musiała więc mamka pokazać je z własnych rąk sułtanowi. Dawny obrońca i sprzymierzeniec króla Janusza przychylił się z przymileniem ku twarzy dziecka, a znalazłszy w rysach niejakie podobieństwo do ojca, pieścił i ucałował je z największą serdecznością.

Potem sięgnął pełną garścią do podanej sobie kiesy ze złotem, udarował z prawdziwie sułtańską hojnością mamkę królewską, i rozdawszy nadto bogate upominki pomiędzy dworskie matrony, pozwolił po niejakiej zwłoce wrócić całemu orszakowi kobiet wraz z królewskiem dziecięciem do Budzynia. Panów rad zaś zatrzymał łaskawemi słowy w obozie, gdzie ku ich godnem uraczeniu poczynili już baszowie świetne przygotowania.

Owoż kiedy panowie radni ucztowali wesoło, nie marząc o najmniejszem niebezpieczeństwie, przeszedł w wykonanie podstępny zamysł sułtana, obsaczyli Janczarowie miasto i twierdzę.

Zpośród hucznej biesiady przywołano panów węgierskich na nowo przed oblicze sułtana. Teraz jednakże czekało ich wcale inne przyjęcie. Soliman nasrożył czoło, i zapytał groźnemi słowy: jak śmieli zezwolić na to, aby król Janusz zawarł pokój z Ferdynandem bez wiedzy i zatwierdzenia sułtana.

Dopiero po niejakimś czasie ochłonął z gniewu, i łagodniejszemi słowy przemówił do zatrwożonych. Zaczęto w ich obecności roztrząsać sprawę Węgier a mianowicie królowej Izabelli. Dało to początek długim badaniom i naradom, które ciągnęły się przez cały tydzień. Codziennie przybierały rzeczy odmienną postać w dywanie.

Basza Belgradu, człowiek dziki i okrutny, radził po prostu, aby dla uniknięcia ustawicznych wypraw ku obronie nowej dynastyi węgierskiej od rzymskiego króla Ferdynanda, wcielić raczej cały kraj do państwa ottomańskiego, odesłać królowę do jej ojca polskiego, królewica wziąć z sobą do Carogrodu, i wpoić mu tam wiarę Proroka, a wszystkie twierdze obsadzić silnemi załogami tureckiemi. Nakoniec żądał, aby wszystkich znakomitszych magnatów wymordować do jednego, zamki ich zrównać z ziemią, a rodziny wziąć w jasyr i zagnać do Azyi.

Soliman skłaniał się już niejako do rady okrutnika, panowie rady węgierscy potruchleli, a przyszłym losom królowej Izabelli nader smutna groziła kolej, gdy wtem przybył jej w samą porę potężny sprzymierzeniec.

Ujęty bogatemi dary Rustern basza, szwagier sułtana, zabrał śmiało głos w radzie, i stanął w obronie matki nieszczęśliwej, której chciano wydrzeć dziecię jedyne. Znając wszystkie słabe strony dumnego Solimana, uciekł się Rustern do najskuteczniejszego środka, przymówił się do jego dumy i wspaniałomyślności.

— „Niegodną byłoby potężnego Padyszacha“ — zawołał w uniesieniu — „krzywdzić i uciskać bezbronnych, którzy w pokorze i ufności garną się pod jego skrzydła, i na klęczkach żebrzą pomocy.“

Sułtan wysłuchał w milczeniu przemowy szwagra swojego, a po chwili namysłu zajaśniało mu szlachetniejsze uczucie w oczach, zaigrał dumny i łagodny uśmiech na ustach.— Los królowej Izabelli rozstrzygł się w pomyślny sposób.

Zaraz nazajutrz otrzymała list sułtański, w ktorym Soliman przysiągł jej na Proroka, na swoich przodków i szablę swoją, iż Budzyń i całe królestwo węgierskie powróci jej synowi, skoro tylko dojrzalszych dostąpi lat. Tymczasem porucza mu władztwo nad Siedmiogrodem, i prosi królowę Izabellę, aby opuściła niezwłocznie Budzyń, i udała się na miejsce nowego przeznaczenia jej syna.

Jednocześnie wypuścił Soliman na wolność zatrzymanych w obozie panów węgierskich. Jerzego Martinuzzi potwierdził w godności opiekuna nad małoletnim królem, Petrowicza mianował dowódzcą Temeszwara, a Stefana Verböcza najwyższym sędzią węgierskim z dzienną płacą 500 asperu albo 10 dukatów.

Tylko jednego Walentego Töreka zatrzymał w swojej niewoli, jużto że obawiał się jego waleczności i znaczenia w kraju, już dla podszeptów Jerzego Martinuzzi, który w dawnym wodzu Januszowym obawiał się niebezpiecznego dla siebie współzawodnika, i ztąd nieprzebłaganą prześladował go zawiścią.

(C. d. n.)

PÓŁROCZE LITERACKIE.

(Ciąg dalszy.)

Od pisarzów nowszych przybyły dzieła następujące:

Opowiadania i krajobrazy, szkice z wędrówek po Ukrainie. przez Tadeusza Padalicę. Wilno 1856. Pan Zenon Fisz (właściwe nazwisko autora) występował w ostatnich latach częściej jako korrespondent gazet warszawskich niż jako powieściopisarz. Zjednało to pewną wziętość jego imieniu, ale nie wróżyło dość świetnie o talencie. Wypada bowiem w takich korrespondencyach literackich mówić zwykle o wszystkiem, a któż należycie sprosta wszystkiemu. Kończy się więc nader często na wiadomościach i sądach powierzchownych, na gawędce bez żadnej głębszej wartości a nie bez uroszczenia, na autorstwie dwuznacznem, które przed każdą ze swoich korrespondencyj powinnoby zadać sobie Hamletowe pytanie: „Co lepiej, być albo nie być?“ Jakaż strata w istocie, gdyby się na tem było skończyło u Padalicy! Ale na szczęście dla nas przeszedł on w ostatnich korrespondencyach na właściwszą poecie drogę, daje artystyczne obrazy miejsc i okolic, a niedawno ogłosił wymienioną w nadpisie książkę. Znajdują się tam w nieco pstrej mieszaninie żywioły różnorodne i nierównej wartości. Podane w niej *krajobrazy* przyniosłyby zaszczyt każdemu pióru; z obrazami miejscowości wiązane bywają wspomnienia dziejów miejscowych, a te są najczęściej albo obojętną reminiscencyą rzeczy wiadomych, albo przedstawiając je z nowej strony, niedostatecznie uzasadniają swój przedmiot; ale za to ileż nowości, ile prawdy przekonującej, ile poezyi, w powiastkach *Nestor Pisanka* i *Zofia Żytkiewiczówna!* Zaliczylibyśmy je do najpiękniejszych płodów literatury bieżącej. Sąto kwiaty poniekąd dzikie, nieco rubaszne, nieco przyostrej woni, niebezpieczne nerwom zbyt delikatnym — komu jednakże nie szkodzi powiew wiatrów stepowych, kogo nie razi widok natury na wpół dzikiej, temu powiastki te prawdziwą będą rozkoszą. Charaktery osób działających — pełne siły i prawdy; otaczająca je przyroda równie bujna i oryginalna jak ludzie a po mistrzowsku odmalowana; poetyczny związek między naturą a ludźmi, między widownią miejscową a występującemi na niej charakterami, daleko głębiej pojęty i wydatniej oddany niż to zwyczajnie zdarza się powieściarzom dzisiejszym. Bylibyśmy w niemałym też kłopocie, gdyby nam kazano wymienić poetyczniejszą powiastkę z ostatnich czasów. I wielceby nam żal było kiedyś, gdybyśmy się omylili w nadziei, iż autor *Nestora* stanie w rzędzie najznamienitszych naszych poetów powieściowych, choćby nawet pisał nie wiele.

Sąsiedzi. Powieść spółczesna przez Jana Zachariasiewicza. Lwów 1856, 2 tomy. Przechodząc od pism Zenona Fisza do powieści Zachariasiewicza, doznajemy wrażenia podobnego jak za przejściem ze stepów do ogrodu. Nie chcemy przez to ubliżać ogrodowi. Mimo zwyczajny entuzyazm dla natury pierwotnej godzi się niezapominać, że ogród jest dziełem sztuki, a sztuka to także dar niebieski. Wszyscy mają prawo do niego, a nie wszyscy przystaną na przechadzkę po puszczy, jakkolwiek poetycznej. Jeśli bywają ludzie, którzy wraz z Korzeniowskiego Pułkownikiem w *Krzyżu na stepie* lubiliby żyć ciągle pod namiotem, i rozkoszować w widoku wspaniałych zjawisk przyrody, tedy jeszcze więcej jest takich, którzy przenoszą nad nią estetyczny urok ogrodu, drażniący imaginacyę wdziękiem podwójnym, bo najprzód rodzimą pięknością krajobrazu, a następnie pochlebną próżności ludzkiej myślą, iżto człowiek swojem mistrzowstwem tak ją ubrał i przyozdobił. Cito ostatni powinniby najbardziej upodobać sobie w *Sąsiadach.* Od parkietowej gładkości stylu aż do misternie zawiązanej intrygi, jest w nich wszystko z artystowską zręcznością obrachowane, wymierzone, ugrupowane, i sprawia efekt według życzenia. Nie brak także przekąsu i satyry, bez których niepodobna już dzisiaj obejść się tonowi konwersacyi wytwornej i utworom tego rodzaju. Bądź jak bądź, czy z niemi sympatyzujemy czy nie, należy uznać w *Sąsiadach* daleko więcej namysłu w założeniu i staranności w wykonaniu, niż się zwykle zdarza powieściom naszym, zwłaszcza pisanym dla feuilletonu. Zasługa ta zjednała p. Zachariasiewiczowi niepospolitą chwałę nawet u takich sędziów, którzy zresztą bardzo surowo oceniają powieściopisarzów dzisiejszych.

W pismach warszawskich, mianowicie w krytykach *Gazety Codziennej*, pisywanych przez znanego estetyka Lewestama, postawiono jedną z dawniejszych prac p. Zachariasiewicza jako przykład dobrze obmyślanej powieści. Przy tak rzadkiej u nas zalecie słuszna oczekiwać po nim coraz znamienitszych utworów. Pragnęlibyśmy im tylko więcej serdecznego współczucia dla przedmiotu swojego, t. j. dla ludzi których malują. W powieściach p. Zachariasiewicza widać dotąd jedynie predylekcyę dla pewnych ogólników filantropijnych, pewnych charakterów i stosunków wyjątkowych, jeżli nie całkowicie zmyślonych. Każden poeta prawdziwy, a temsamem i poeta-powieściopisarz, powinien kochać świat cały, kochać wszystkie charaktery swoich kreacyj. Inaczej da nam świetną satyrę, da dowcipną parodyę, ale nie da obrazu prawdziwego. Boć jak powszechnie wiadomo, nie zbadać inaczej tajemnicy serc ludzkich jak tylko okiem miłości. Jakąkolwiek sondę zapuścisz w zagadkową bezdnę natury ludzkiej, każda okaże się za krótką, oprócz sondy życzliwości serdecznej. Gniew, mizantropia, pretensye obrażone, odsłonią coprędzej słabą piętę Achillesową, okażą w niej jakby przez mikroskop wszystkie żyłki i błonki i wygniotki — pozwolą ku podziwowi ciekawych odmalować ją w obrazie powiększonym, ale będzie to właśnie tylko pięta ludzkości. Komu chodzi o całość, ten nawet ciemnym charakterom powieści nie odmówi pobłażliwości, zdolnej zrozumieć i opowiedzieć, jakieto zgubne wpływy przywiodły je w zepsucie. Pod szczęśliwym sterem takiej pobłażliwości, takiego przywiązania, jakże trafnie umią niektórzy powieściarze malować czasy i obyczaje dawniejsze, jak piękne urastają z tego obrazy, jak hojnem uznaniem wynagradzają one wzajem pisarzów! Cokolwiek mniej niechęci do świata dzisiejszego, a przybędzie niemało trafności powieści o nim, i przybędzie chwały ich twórcom.

Pan Marcin Kwieć. Opowiadanie z czasów augustowskich. Z rękopismów JMPana Wady, przejrzane i własnemi wspomnieniami uzupełnione przez Stanisława Reytena. Warszawa 1857. Jestto początek dłuższego jak się zdaje szeregu opowiadań, malujący zdarzenia i obyczaje w Słuczczyznie Radziwiłłowskiej około połowy XVIII wieku, a ciekawy takiemżesamem miarkowaniem dotychczasowej przesady światła w powieściach z owego czasu, takiemsamem staraniem o większą prawdę obrazu, jakieśmy spotkali już wyżej w *Panu Staroście Kaniowskim* Grabowskiego.

Pamiętniki Jana Duklana Ochockiego. Z pozostałych po nim rękopismów przepisane i wydane przez J. I. Kraszewskiego; w *Gazecie Warszawskiej*, tomów 4. Przepisał tu niespracowany wydawca wspomnienia zdarzeń prawdziwych a w części historycznych, z epoki Stanisława Augusta, uderzające nieraz nowością rysów i charakterów, jeśli nie bardzo korzystną dla czasów przedstawionych, tedy tem korzystniejszą dla naszej wiadomości.

Życie na żart. Szkic przez Alexandra Niewiarowskiego. Warszawa 1856, tomów 3. Znowuż smutny obraz obyczajów dzisiejszych, który jednakże za bliższem obejrzeniem okazałby się tylko obrazem obyczajów wielkomiejskich, a przy jeszcze bliższem poznaniu tylko obrazem szumowin życia wielkomiejskiego, rozlewających się zapewne szeroko po świecie okolicznym, ale zanadto pustych w gruncie, aby nawet piękne i najlepszemi chęciami natchnione pióro p. Niewiarowskiego mogło z nich zrobić cokolwiek.

Nowy gladiator. Powieść przez p. Waleryą Morzkowską. Warszawa 1857 — utwor rozprawiający poetyczno-filozoficznie o sztuce, o życiu artystów w Rzymie, o poświęcaniu siebie i kochanek dla sztuki, wreście o wielu innych osobliwościach, lubo nie koniecznie potrzebnych, przecież nie bez talentu skreślonych.

Amalia. Powieść moralna z życia wypisana dla życia. Przez Felixa Kozłowskiego. Lipsk 1847, 2 tomy.

Zwiady świata i ludzi. Oddział I. *Dom mojej babki.* Przez Walerego Wielogłowskiego. Kraków 1856.

Zarysy towarzyskiego życia z XIX stólecia. Przez L(eona) P(otockiego). Poznań 1856.

Dwie powieści. Poznań 1856.

Przygody starego żołnierza z dwudziestego pułku księztwa Warszawskiego, według ustnego opowiadania zebrał i skreślił Szymon Baranowski. Lipsk 1857.

Adaś. Opowiadanie pseudonyma. Wilno 1856.

Tyle nowego przyniosła literatura powieściowa, według jednych najżywotniejsza gałęź piśmiennictwa naszego, według innych wszelkiej pozbawiona przyszłości.

Chcąc sobie zrobić ogólne wyobrażenie kierunku, jaki ona w wymienionych tu płodach zdaje się brać na przyszłość, mniemamy postrzegać nieznaczne zbliżanie się ku sobie

obudwóch jej ostateczności dzisiejszych — t. j. powieści historycznej i powieści „spółczesnej“.

Odkąd w ostatnich dwudziestu latach nabrało powieściarstwo nasze więcej życia i treści, odtąd płynęło ono ciągle dwoma równoległemi ale nie równo uposażonemi prądami. Jednym była powieść z czasów dawniejszych, drugim „spółczesna“. Dwoistość ta objawia się w każdej innej literaturze, lecz w żadnej nie ma ona tyle wpływu i znaczenia co u nas. W literaturze niemieckiej, francuzkiej albo angielskiej, powieści z czasów dawniejszych i powieści z życia teraźniejszego, mają tęższamą wartość dla wyobraźni. Owszem czasy niezbyt dawniejsze bywają malowane z pewnym przekąsem i szyderstwem; epoka tegoczesna uchodzi za nierównie godniejszą szacunku i współczucia. W naszej literaturze mają się rzeczy inaczej. U nas obrazy życia przeszłego doznają o wiele łaskawszych względów ze strony wyobraźni. Wszelkie jej sympatye, wszelkie jej skarby i wdzięki, przechyliły się wyłącznie na stronę powieści historycznych, służą jedynie ku przydaniu im blasku i barwy. Oneto stały się obrazami wszelkiego światła, wszelkiej zacności, wszelkich cnót i przymiotów. Oneto wzięły wszystko serce czytelnikom, i prawie wszystek talent pisarzów. Zajaśniały w literaturze jenialne prace Rzewuskiego i Chodźki. Publiczność nie posiadała się z uniesienia i czci. Najmłodszy z malarzów tego rzędu, Kaczkowski, został w jednej chwili ulubieńcem całego świata czytającego.

Cóż w obec takiej parcyalności serca i wyobraźni, działo się z młodszą siostrą powieści historycznej, z siostrą „spółczesną“? Spółczesność ma zawsze tak wielkie prawa, że nawet przy najsilniejszem wpatrzeniu się w czasy minione nie zdoła oko uniknąć jej widoku i wrażeń. Nie brakło tedy powodów i chęci do obrazów z życia teraźniejszego; kreślono je i czytano jako rzecz natrętną i niezbędną, ale czyniono to bez serca i miłości, które padły wyłącznie szczęśliwszej siostrze starszej. Gdzie zaś nie ma miłości, tam w rzeczach umysłowych, a zwłaszcza u nas, musi koniecznie zrodzić się niechęć i antypatya. One też stały się mimo chęci i wiedzy głównem natchnieniem powieści tegoczesnej. Jak w obrazy z życia przeszłości kładziono samo światło i same przedmioty poszanowania, tak opisy życia i obyczajów dzisiejszych obfitowały przeciwnie w cienie, lubowały najbardziej w przedmiotach nagany i zgorszenia. Obrazy przeszłości stały się jednostronnemi panegirykami, obrazy tegoczesne zamieniły się w również jednostronne satyry. Wraz z zasłynięciem Rzewuskiego i Chodźki rozeszły się owe złośliwe, lubo czasem z niepospolitym talentem kreślone powieści satyryczne, które wszyscy znamy i pamiętamy, a których źródło nie wyschło jeszcze podziśdzień.

Obadwa te prądy miały przecież pewną wspólną sobie właściwość, t. j. grzeszyły oba zarówno przeciwko prawdzie. Jeden grzeszył pochlebstwem, drugi potwarzą. Wiedząc albo nie wiedząc o tem, służyły one raczej innym celom niż sztuce. Jak wszystko w świecie miewa swój powód, tak i te inne cele mogły uzasadnienie mieć w życiu, lecz czyniły uszczerbek literaturze. Literatura zamiast skończonych utworów sztuki, otrzymywała od nich jednostronne obrazki, cacka albo karykatury, oświecone nie złotem słońcem prawdy lecz kagankiem osobistych usposobień malarzy. O ile usposobienie miłości bywa zawsze bardziej twórczem i pięknem, o tyle też owe pochlebne wizerunki przeszłości stały się jenialniejszemi, okazały się bliższemi mistrzowstwu prawdziwemu, od satyrycznych powiastek tegoczesnych. Kiedy te chorobliwe expektoracye żółci pójdą w niepamięć z chwilą która je na świat wydała — owe sercem wypieszczone wspomnienia czasów minionych pozostaną najpiękniejszemi pamiątkami literatury, na jakie zdobyć się mogła pewna epoka. Ponieważ jednakże pomniki te są na wszelki wypadek jednostronnemi, ponieważ przechyliły się w ostateczność pochlebstwa, przeto musiała naprzód zadrgać jednocześnie żyłka drugiej ostateczności — potwarzy, i musiała nakoniec okazać się jednostronność, względna nieprawdziwość obrazu.

Owoż mniemamy dostrzegać dzisiaj, iż to uznanie przesady światła w dotychczasowem obrazowaniu przeszłości jest tuż przed nami. Żaden z dzisiejszych utworów tego rzędu nie popada w panegiryzm Rzewuskiego lub Chodźki, a wiele z nich stara się o zupełną bezstronność. Dowodzą tego dzieła jak *Pan Starosta Kaniowski* Grabowskiego, *Pan Kwiec* Rejtena, *Pamiętniki* Duklana Ochockiego, *Pamiętniki* p. Felińskiej i t. p. Wszystkie one malują bliższą lub dalszą przeszłość o wiele trzeźwiej, śmielej, otwarciej, niż bywało dotąd zwyczajem. Temu widocznemu zdyskredytowaniu pochlebstwa w powieściach z lat ubiegłych, odpowie podobneż miarkowanie się drugiej ostateczności — niechęci ku czasom nowszym. W miarę ostygania serca dla złu-

dnych widzeń przeszłości rozgrzeje się ono dla świata spółczesnego, dla pokoleń żyjących, które również potrzebują spółczucia. W miarę coraz większej prawdy w opisach życia dawnego przez zniżenie tonu panegirycznego, urosną także w prawdę obrazy otaczającej nas społeczności, przez podniesienie słusznego jej uznania. Jedne i drugie z tych opisów staną się przez to nierównie trafniejszemi, staną się prawdziwemi dziełami sztuki. A dajcie nam arcydzieła prawdziwe, to nie omieszkają one działać także najużyteczniej na życie. Bo niech nam wolno będzie wyrazić tutaj, co już wyżej natrącało się pióru. Nie umiemy niestety pojmować sztuki ani umiejętności bez wpływu na obecność, lecz aby wpływ ten był rozumnym i dobrym, musi sztuka i umiejętność być przedwszystkiem skończoną w sobie samej, musi być ile możności dojrzałą i doskonałą. Wszelkie partactwo na polu sztuki lub umiejętności w intencyach poza sztuką i umiejętnością leżących, wszelka dorywczość literacka w celach nieliterackich aczkolwiek zresztą najlepszych, karze się ostatecznie najszkodliwszemi skutkami w życiu, wręcz przeciwnemi intencyom.

O ile więc i powieściarstwo nasze dojdzie do większej doskonałości, zbliży się do sztuki prawdziwej, o tyle też pożyteczniej odpowie ono potrzebom życia, acz może odmienniej upostaciowanego kiedyś w rzeczywistości, niż sobie nasza krótkowidząca wyobraźnia roiła. Jakoż przebaczą nam czytelnicy, że z przywileju wszystkich krytyków literackich zrobimy sobie pociechę pewnej miłej nadziei. Tę nadzieję upatrywalibyśmy w pełniejszem rozwinięciu się naszej literatury powieściowej, a to przez zbliżenie się ku sobie owych prądów obudwóch, w które ona rozszczepiła się w czasach ostatnich, a które dzisiaj widocznie łagodnieją w żarliwości swoich natchnień przeciwnych. Owocem tego byłaby powieść prawdziwa, nie dzieląca życia na przeszłość i teraźniejszość, ludzkości na jakieś pokolenia światła i jakieś pokolenia zepsucia, ale widząca wszędzie człowieka i grę losów człowieczych, nie zawsze niewinnych lubo szczęśliwych i nie zawsze bez uniewinnienia lubo w nieszczęściu. Jak szerokiem zaś byłoby pole wawrzynów i zasług w powieści takiej, na to dowodem utwory Korzeniowskiego. Dotąd prawie sam Korzeniowski dawał bezstronne, nieuprzedzone, a przez to samo prawdziwsze i artystyczniejsze obrazy społeczności dzisiejszej — w ogóle życia ludzkiego. Kiedy mistrze powieści historycznej albo całkowicie utonęli sercem w przeszłości, albo malując czasy obecne, i w nich tylko przeszłość cenili; — kiedy autorowie powieści skandalicznych uwzięli się otwarcie zedrzeć światu dzisiejszą szatę zbrukaną, i kiedy sam bezstronny na pozór Kraszewski zwyczajnie z polemicznego stanowiska patrzył na świat dzisiejszy — Korzeniowski stanął jak się nam zdaje wyżej, nie zawadził o przybory zewnętrzne, ujął człowieka nie za suknię świetną lub brudną, nie za szatę przeszłości lub dzisiejszości, lecz za samo serce bijące, w każdym wieku i pod każdą suknią jednakie, zawsze zacności zdolne acz zawsze słabe. Ztąd gdy inni pisarze malowali nam częściej szatę ludzką niż ludzi, cieszyli się błyskotnie wyszywaną a smucili się spełzłą połą ludzkości — on szedł wprost do żywego, malował od serca żywą naturę ludzką, i tak nawzajem chwytał zawsze i chwytać będzie za serce, że gdybyśmy mieli nazwać po kim ową spodziewaną, a przynajmniej pożądaną epokę naszej literatury powieściowej, nazwalibyśmy ją epoką Korzeniowskiego. (D. n.)

Starodawna facecya starodawnym językiem. W Rzymie rozstękał się Polak, posłał sobie po doktora, aby mu dał lekarstwo; po onem lekarstwie w taką chorobę wpadł, że go on doktor odstąpił, powiadając mu: że trzeci dzień nie wynidzie, a ty się pożegnasz z światem. On Polak tak opuszczony nic z sobą nie trwoży, wszakże grochu, co go medyk zakazował jadać, kazał garniec niemały uwarzyć, który ochotnie zjadł. Od tego czasu jęło mu się na zdrowiu poprawiać. Trzeciego dnia Włoch mimo kamienicę idąc, gdzie Polak leżał, pyta kiedy onego Polaka pochowano? Powiadają mu że się lepiej ma, i ku zdrowiu przychodzi. Włoch się temu zadziwuje; wstąpił tam, coby za lekarstwa używał pyta? Polak rzecze: Grochu mi się zachciało, i tak zjadłem go garniec, i zaraz mi się jęło na zdrowiu poprawiać. Poszedł Włoch do domu ruminując sobie, że Dioskorides tej mocy do grochu nie wiedział, co Polacy umieją. Napisał to, taki tytuł dawszy: *Remedium contra mortem, R. Olla Pisi bene cocti commedatur tota, non morietur.* Co po polsku się rozumie: Lekarstwo doświadczone przeciw śmierci. Weźmi garniec grochu dobrego, uwarzywszy. Niechaj chory wszystek zje, tedy nie umrze. Niedługo potem trafiło się, że on medyk leczył Włoch. Widząc że mu nic nie pomaga, uciekł się do recepty, jako do pewnego lekarstwa, co go miało od śmierci zachować. Kazał mu uwarzyć garniec grochu, i przez gwałt kazał mu jeść. Włoch zjadłszy groch, tego wieczora umarł. Medyk to widząc, przyszedłszy do domu, wziął one księgi swoje, i poprawił sobie onej recepty. *Remedium contra mortem sed tantum pro Polonis,* jakoby rzekł: Lekarstwo dobre przeciw śmierci ale tylko dla Polaków. Nie wszyscy Włoszy mądrzy, choć tam po rozum jeżdżą.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiej drukarni rządowej.*